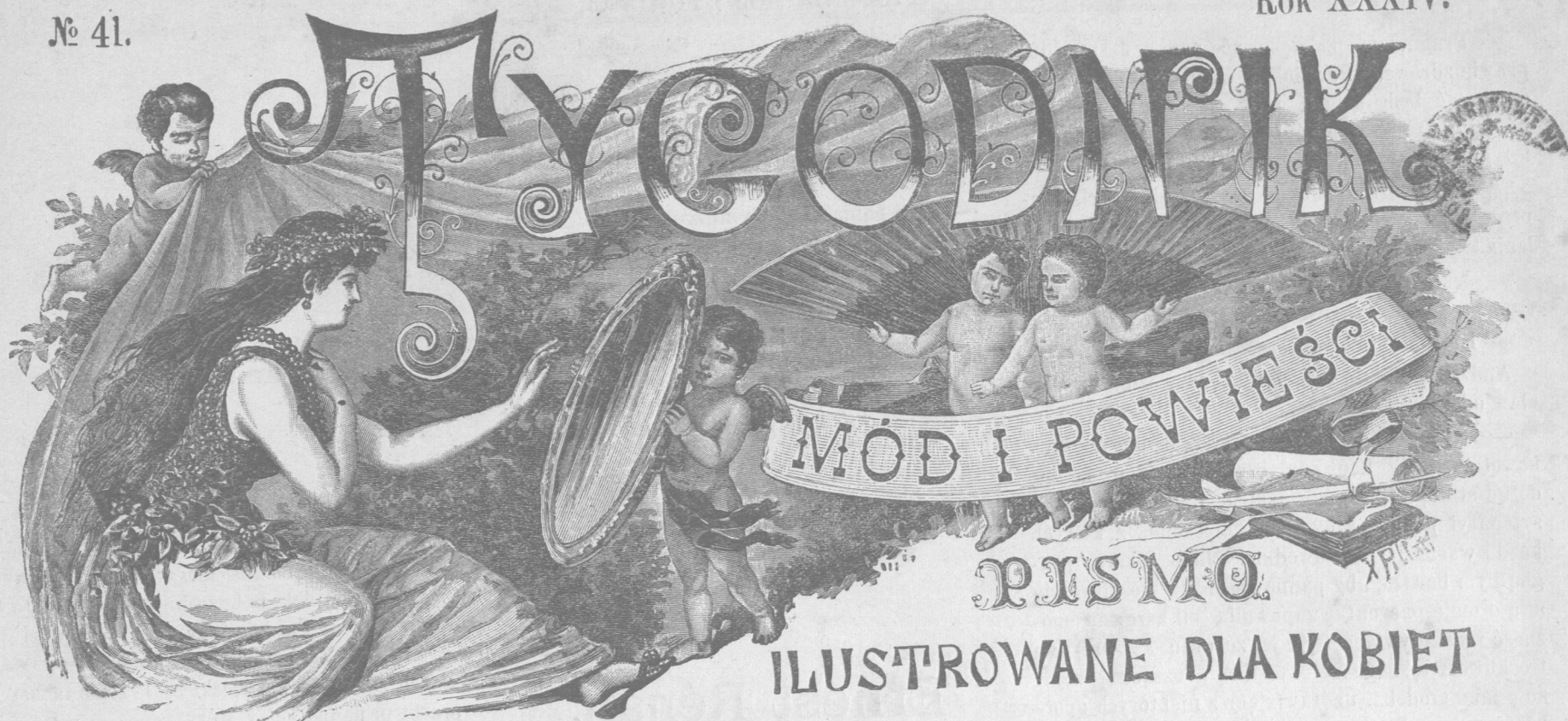




PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie
Kwartalnie. rs. 1.
Za odosłanie do domu kwartalnie kop. 10.
Na prowincyi
Kwartalnie. rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:

Chmielna Nr 26.
Warszawa, dnia 26 Września 1892 roku.
8 Października

PRENUMERATA WYNOSI:

We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

Treść: Panna Melania, powieść przez St. M. Rzętkowskiego (ciąg dalszy). — Ernest Rénan. — Korespondencya z Paryża o ubiorach. — Z Alp Styryjskich. — Z tygodnia. — Sybilla, powieść przez F. C. Philips i C. J. Wills, przekład Zofii Grabowskiej (ciąg dalszy). — Z chwili bieżącej. — Ogłoszenia. — W dodatku: Nie-
rozłączni, powieść przez Janinę Mairét (arkusz 3).

PANNA MELANIA.

POWIEŚĆ

PRZEZ

St. M. Rzętkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Jeszcze słońce wejść nie zdążyło, gdy pod wpływem dumań Melania poczuła się dziwnie znużoną. Z pierwszym złotym promieniem, który się położył na ścianie przeciwległej oknu, oczy jej się przy-
mknęły i sen płochliwy ukołysał zmęczoną jej wy-
obraźnię. Spoczynek absolutny trwał jednak nie-
długo. Zerwany wątek marzeń nawiązał się znów
i snuł dalej, tylko już bezładnie, fantazyjnie, jak
zazwyczaj we śnie. Błade widma wyobraźni uka-
zywały jej przeszłość minioną, przeszły potem w ja-
kiś chaos i skoncentrowały się w jednej, jedynej po-
staci, dobrze znanej, wyrazistej a sympatycznej.
Widziała znów Wacława, pochylonego nad łóżkiem
Andzi, wpatrującej się weń spojrzeniem pełnem
ufości. Uczuła wówczas dojmujący ból w sercu,
ręce jej machinalnie podniosły się ku niemu, a ruch
ten, nadwągający równowagę na wązkim krze-
sełku, zbudził drzemiacą.

Tuż obok niej stał młody lekarz, rozmawiający

cichutko z babunią; rozmowa była ożywiona, a roz-
mawiający weseli.

Spostrzegłszy, że Melania już nie śpi, Wacław
zbliżył się do niej i, ujmując jej dłoń, rzekł:

— Spodziewałem się nocy bardzo niespokojnej,
ale, dzięki Bogu, stało się inaczej. Kryzys minęła
szczęśliwie, moja pacjentka nie potrzebuje się le-
kać pogorszenia.

— Byłam tu niepotrzebna... — wtrąciła Mela-
nia.

— Przeciwnie, to tylko najpomysłniejsze okoli-
czności sprawiły, że dobrej, zacnej woli pani nie to-
warzyszyły uczynki. Ale zasługa jedna, a wdzięcz-
ność nieograniczona.

Spojrzała nań uważnie, cofnęła trzymaną dotąd
rękę i rzekła:

— Jestem bardzo znużona i pragnęłabym zna-
leźć się już u siebie. Zdaje mi się, że tu bezemnie
obejdą się łatwo.

Wacław przystąpił bliżej i głosem przytłumio-
nym mówił:

— W tej chwili... może, skoro należy się pani
spoczynek, ale potem, jutro, pojutrze, za miesiąc
lub za rok — nie! Czy pani nie pojmujesz, że te
ubogie kobiety, z których jedna wyszła zaledwie
z dziecięctwa, a druga już dziecinnieje, są jako wą-
tłe płonki na wietrze, usiłującym je w proch ze-
trzeć? Skoro oboje odejdziemy, porzucając je w sa-
motności, co się z nimi stanie?... Resztki zasobów
z przeszłości, która miała swoje dni pogodne i szczę-
śliwe, już tu wyczerpano. Pozostała im praca, do
której obecnie obiedwie sił nie mają. W takim
położeniu umiera się z głodu, albo oddaje się duszę
szatanowi.

Melania słuchała uważnie, chwytając uchem ła-
komie każde słowo Wacława i każdy odcień jego
głosu. Cichy był, a jednak dźwięczał siłą, przeko-
naniem i uczuciem.

— Oóż pan chcesz, abym czyniła?

— Nie mam na myśli pomocy materyjalnej... o to
najmniejsza. Dwie słabe kobiety, oswojone z ubo-
stwem, nie potrzebują wiele. Ale tamtej należy
się opieka, troskliwość, dobra rada... serce.

Panna Bosińska spuściła głowę na piersi i sze-
pnęła głosem bezdźwięcznym:

— Są to wszystko rzeczy, na które pan sam zdo-
być się możesz.

— Tak — odparł Wacław, — gdyby mi się na
nie zdobywać było wolno. Jestem tylko lekarzem...
Za parę tygodni chora wróci do zdrowia, moja rola
tutaj się skończy.

— Lekarz jest także człowiekiem.

— Niekiedy o tem zapominać musi.

— Jeżeli może.

— I jeżeli ma tylko... jednego pacjenta. Tobie
było cokolwiek niewygodne. Dosyć czyni, gdy szu-
ka zastępstwa serc szlachetnych.

— Czcze słowo.

— Nie! Wiesz pani dobrze, co myślę o tobie
i jak ufam twojej dobrej woli. Inaczej nie powie-
rzałbym pani...

— Kogo? — podchwyciła Melania.

On zamilkł. W tej chwili weszła babunia z pro-
śbą od chorej, aby „łaskawa pani” odwiedzić ją ze-
chciała.

Andzia, na widok Melanii, pokryła się bladym
rumieńcem i wyciągając ku niej rękę, rzekła:

— Pragnęłam podziękować pani. Jestem już prawie zdrowa. Pan doktor obiecuje, że za kilka dni wstać będę mogła, a ja bym to rada uczynić jaknajprędzej. Dobroć pani narażona jest na tyle fatygi... Mnie to bardzo przykro.

— Nie lubisz, panno Anno, troskliwości, nieprawdaz? — spytała z odcieniem goryczy Melania.

— Jestem dla pani obca... — wtrąciło dziewczę.

— I chciałybyś nią zostać?...

Andzia spojrzała na mówiącą trwożnie, a Waclaw odezwał się szybko:

— Byłoby to dziwactwo, o którym nie mówmy nawet żartem. Któż wie, czy to wszystko, co się dotąd stało, nie jest zawiązkiem najserdeczniejszej sympatii pomiędzy dwiema kobietami, z których każda warta jej niezawodnie! Jako lekarz, pragnąłbym bardzo, aby panna Bosińska troskliwością swą o moją pacjentkę zapewniła mi zarazem możliwość wywiadywania się o jej zdrowiu. A przytem troskliwość tę, łagodną, życzliwą i rozsądną, zapisuję jako środek... uzdrawiający z niektórych uporków i samowoli.

— Więc to środek wychowawczy? — podchwyciła Andzia.

— Uzdrawiający — z naciskiem powtórzył Waclaw.

— Jeżeli jestem pod tym względem bardzo chora, wątpię ażeby mnie uzdrowić zdołał.

— A ja nie wątpię wcale! Wiem, że panna Bosińska posiada tyle właśnie dobroci, ile cierpliwości.

— W tej chwili posiadam tylko nieopanowaną żądzę spoczynku — rzekła Melania, — jeżeli przeto nie zrobi to panu różnicy, zechciej mnie odwiedzić do domu.

I uściskawszy rękę Andzi, a ukłonem pożegnawszy babunię, Melania szybko włożyła kapelusz i okrycie.

Gdy znalazła się obok Waclawa w dorożce, milczała i machinalnie spoglądała w ulicę, w której, choć było wcześniej, ruch ożywiony panował. Ale pamięć jej nie zatrzymała ani jednej postaci z mijającego ją tłumu, bo myśl błądziła samopas, bezładnie, między przeszłością a chwilą obecną.

Dopiero gdy wysiedli przed domem i znaleźli się w sieni, u drzwi mieszkania, Melania rzekła:

— Panie Waclawie, co pan uczynisz, jeżeli ja tam nie pójde już nigdy?

Zdumiony, odparł po chwili:

— Co uczynię?... Pani żartuje. Dlaczegożbyś nie miała pójść?

— Ten „środek uzdrawiający” nie wydaje mi się koniecznym. Dla panny Anny i jej babki wystarczy pomoc... zdaleka; moja troskliwość mogłaby im się naprzykrzyć, a tym sposobem pan mógłbyś być wyborynym pośrednikiem, wystarczającym najzupełniej.

— Panno Melanio, czy pani nie pojmuje, że tu idzie... nie o pomoc samą?

— O cóż więc?

— Musiałbym to pani tłumaczyć jako człowiek... nie jako lekarz. Wolę w tej chwili błagać.

— Al tak to panu bardzo potrzebne?

— Nie wiem... wiem tylko, że nie byłbym spokojny ani chwili, gdyby to dziecko sieroce nie znalazło opiekunki w pani.

Melania milczała.

— I cóż? — szepnął. — Odwołuję się do przyjaźni, proszę z ufnością...

— I będziesz pan się cieszył, skoro odpowiem: tak?

— Będę panią błogosławił!...

W tej chwili drzwi się otwały i Melania wbiegła niemi szybko, nie odrzekłszy ani słowa. Coś ją w gardle dusiło, w sercu kłóło bólem dojmującym, a w głowie tłukło jakimś zawrotem burzliwym, nad którym myśl panowała z trudnością.

— Tak — szepnęła do siebie, znalazłszy się w swoim pokoju, — to jasne jak słońce, to okropne jak śmierć!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Ernest Rénan.

Był czas, kiedy pisarz tego nazwiska, bardzo czynny i obfity w tworzeniu coraz nowych książek, był też powagą dla wielu umysłów niewyrobionych, a chwytających skwapliwie wszelką negacyą. Imię jego powtarzano często, a na opinie powoływano się, jak na wyroki bez apelacji.

Uczony ten, dożywszy blisko siedemdziesięciu lat, umarł zeszłej niedzieli w Paryżu.

Rénan pierwsiastkowo był katolikiem i poświęcił się stanowi duchownemu, ale, zostawszy już kapłanem, porzucił zarówno to powołanie, jak i wiarę ojców swoich. Od tej chwili oddał się całkowicie studiom nad językami wschodnimi i nad starożytnościami Wschodu. W roku 1856 mianowano go członkiem Akademii napisów, a w kilka lat potem wysłano w celach naukowych do Syrii. Wskutek tej podróży napisał dzieło „O powołaniu Fenicyi,” jako pierwszą swą pracę w kierunku obranym. W lat parę powierzono mu wykłady języków chaldejskiego, syryjskiego i hebrajskiego w Kolegium francuskim.

Rénan pozostawił po sobie długi szereg dzieł, w których był raczej skrzętnym zbieraczem szczegółów, niż autorem o obszernych i samodzielnych poglądach. Krytyka przyznała mu wiele talentu, ale niewiele trafności we wnioskowaniu. Na opiniach jego wcale a wcale polegać nie można, jak to czyniono przed dwudziestu laty. Z filozofią jego lepiej być zdaleka, jeżeli się jej niema przyjmować krytycznie.

Główne dzieła Rénana są: „Awerroes i Awerroizm,” „Historia powstawania i system porównawczy języków semickich,” „Początek mowy,” „DIALOGI i fragmenta filozoficzne,” „Rozmowy i konferencje,” i t. d. Przygotowywał też wielotomową historią narodu żydowskiego, której tom ostatni ma się ukazać za parę miesięcy. Jest to najcenniejsze dzieło Rénana.

M.



1 Października 1892 roku.

Mody jesienne i zimowe zaczynają wychylać się z ukrycia. Dotąd wielkie magazyny nie wystawiły ich jeszcze na widok powszechny. Nastąpi to dopiero ku połowie Października, ale fabrykanci paryscy i lyońscy nadsyłają setki próbek do pierwszorzędnych zakładów krawieckich. Przeglądaliśmy je w pracowni panny Elizy Méry.

Co do kolorów, te utrzymują się zawsze w tonach przyćmionych i niepewnych; zielony przechodzi w odcień zwiędłych liści, szafirowy przybiera barwę mglistą, różowy, *vieux rose*, ledwie że przypomina różę zwiędłą i przemrożoną. Z ciemniejszych kolorów najwięcej używany szary (*beige*), wydrowy (*loutre*) i popielaty w rozmaitych odcieniach.

Dajemy tu opis próbek, które nam szczególnie wpadły w oko; zaczynamy od jedwabnych materyj.

Aksamit, zwany *velours du Nord glacé*, mieniony w dwóch kolorach; przez strzyżony jedwab, zazwyczaj czarny, przebija tło pomarańczowe, pasowe, zielone lub niebieskie.

Aksamit niestrzyżony (*velours épinglé*) zarówno mieniony, czarny lub ciemny na tle jasnym.

Półjedwabny aksamit (*velours cotelé*), czarny lub ciemny, w przerabiane paski różowe, zielone albo niebieskie w rozmaitych odstępach. Także sam w drobne kolorowe centki.

Szkocki aksamit w kratę w dwóch ciemnych kolorach; na tych krzyżują się jaskrawe prążki pomarańczowe, pasowe, błękitne i t. p. Ten ostatni, dawany ukośnie, służy na spódniczkę do gładkiego stanika, używają go też „na bluzki.”

Aksamit angielski, drukowany w perski deseni.

Z tych licznych odmian widzimy, jak ważne miejsce zajmie aksamit w ubraniu na nadchodzącą zimę. Zwrócił uwagę naszą najświetniejszy ze wszystkich, zwany *velours ombré*. Szerokość jego zwykła wynosi prawie łokieć. Po obu brzegach blade, przechodzi w coraz mocniejszy odcień, w środku najciemniejszy. Widzieliśmy taki w kolorach zielonym, różowym i ametystowym.

Niemniej świetnie wygląda podobny atlas *ombré*. W pracowni panny Méry wpadł nam w oczy poraz pierwszy ten atlas; jedna sztuka przechodziła całą gamę odcieni od słomkowego do ciemno pomarańczowego, druga od perłowego do stalowego.

Lżejsze materye jedwabne, zasiane w drobny rzucik, należą do nowości tegorocznych, tło ich zazwyczaj mienione; oto niektóre próbki.

Ryps w maleńkie palemki różnokolorowe na tle wydrowem, ciemno zielonem i t. d., pomiędzy palemkami rzucik z drobnych punkcików.

Materya *armure* mieniona w dwóch kolorach, szaro-błękitnym i *vieux rose*, na tle błękitnem rzucane pastelki różowe.

Ryps jedwabny czarny w różnokolorowe centki albo punkciki.

Atlas w rzucik aksamitny, tegoż samego koloru.

Materya mieniona w trzech kolorach, czarnym, zielonym i *vieux rose*; te kolory pomieszane razem tworzą drobny delikatny deseń.

Próbki wełnianych tkanin odznaczają się też gustem i nowością. Uważaliśmy między innymi *vélours épingle*; tło mienione w dwóch kolorach, na przykład zielonym i wydrowym, szafirowym i ceglastym, na tem przechodzi deseń złożony z czarnych punkcików.

Inny znów *vélours* w prążki czarne bardzo drobne na tle zielonem, błękitnem i pąsowem.

Wigoń w szarych odcieniach bardzo też będzie używany, zwłaszcza do wyjścia na ulicę.

Przejdźmy teraz do płaszczyków. Forma ich dotąd niezdecydowana; zdaje się, że długie peleryny, z małemi odmianami, jeszcze się utrzymają. To tylko wiadomo, że obok czarnych i ciemnych ukażą się okrywki w żywy kolorowy deseń. Widzimy na nie próbki tkaniny zwanej *Zibelina*. Jest-to wyrób puszysty, miękki, z długim włosiem. Na tle czarnem lub wydrowem rzucany deseń *chiné*, w kolorach żółtym, pąsowym, zielonym i t. p., mieszanym zwykle z kolorem *beige*. Do tych okrywek służyć będzie długa frendzla z koziej wełny (*chèvre mongole*), fryzowana w kolorach odpowiednich, brzeg frendzli czarny lub ciemny jak tło, powyżej kolorowy w miejscu gdzie dotyka okrywki.

Na inne znów płaszczyki przygotowano wełniany aksamit niestrzyżony (*vélours épingle*). Tło czarne, na tem przechodzi deseń *en vermicelle*, złożony z punkcików kolorowych, zielonych, *vieu rose*, *beige* i t. d.

Obok tych kolorowych, czarne okrywki nie będą przecież zarzucone. Widzimy na nie piękne próbki brokateli, w drobny lub większy deseń. Materya to sztywna, mięsista, zwana dawniej *matlasse*.

Co do kroju sukien, dotąd walka między angielskim krawcem Redfernem a francuskim Worthem, o której mówiliśmy, jeszcze nie przeważała się stanowczo na żadną stronę, w połowie ją tylko rozstrzygnięto.

Do balowego stroju niektóre panie przyjęły suknie z krótkim stanikiem, *Marie Louise*, jakie noszono za pierwszego cesarstwa; spódnica u nich płaska z długim trenem. Moda to jednak nieupowszechniona, nie wróży jej długiego powodzenia.

Bardziej przypadły do smaku Paryżankom suknie z roku 1830. Do tych fabrykanci zastosowali materye w drobny rzucik. Spódnica, krajana okrągło, spada tylko do ziemi, nie ma żadnego trenu. Przód płaski, bryty namarszczone w tyle. Stanik gładki przybrany bertą, rękawy mocno nabufowane (*en ballon*), różnią się w tem od zeszłorocznych, że nie sterczą wgórę jak skrzydła, lecz zwracają się nabok poniżej ramion. Widzieliśmy podobną suknię w zakładzie panny Mery, oto szczegółowy jej opis.

Suknia ta z materyi jasno zielonej cała zasiana w drobnuchne palemki różnokolorowe, niewiększe niż ziarno fasoli. Spódnica krajana okrągło razem z trzema wolantami, które zachodzą powyżej kolan. Te wolanty nowego rodzaju tworzą się z materyi przymocowanej do podszewki, a potem odwracanej wgórę, w odstępach ćwierćłokciowych.

Ponieważ spódnica szeroka udołu zwęża się stopniowo, ztąd wolanty lekko są namarszczone; nad każdym idzie szlaczek, haftowany na gładkiej materyi zielonej, w kolorach odpowiednich do palemek. Stanik do tego wycięty bez bawetu, obciśnięty paskiem z klamerką. Na wykroju przechodzi namarszczona berta z materyi gładkiej, haftowanej. Rękawy tworzą u ramion rozniesistą bufę, zachodzącą prawie do łokcia; od niej spada wolant haftowany. Suknia ta może służyć i do mniejszego ubrania; w takim razie dodaje się karczek i wąskie rękawki zachodzące do ręki.

Inna suknia z szarej popeliny, zrobiona w ten sam sposób, miała, zamiast haftowanych szlaczków pomiędzy wolantami, ukośne plisy z aksamitu szkockiego w kratę. Berta i wolant u rękawów zarówno aksamitne.

Zwróciła także uwagę naszą bardzo ładna suknia z wełnianej tkaniny, mienionej w trzech kolorach: zielonym, czerwonym i *vieux rose*. Spódnica do ziemi, krajana okrągło, przymarszczona w tyle, bez żadnego garnirunku. Stanik gładki, przez plecy i ramiona przechodzi do przodu berta z sukienka *vieux rose*, zakończona lekkim haftem, szeroka przeszła na ćwierć łokcia. Ta berta z przodu przedłużona, tworzy niby gorsecik, sięgający do stanu. Rękawy rześisto bufowane od ramienia, zpod tej bufy spada wolant z różowego sukienka. Od łokcia do ręki wązkie obcisłe rękawki, zakończony takąż falbaneczką.

O kapeluszach zimowych nie stanowczego powiedzieć jeszcze nie możemy. Utrzymują tylko, że przyjęty krój sukien z roku 1830 pociągnie za sobą niejaką zmianę i w kapeluszach, noszono je wtedy z dość szerokiem wystającym rondem. Kto wie czy moda nie przyjmie ich nanowo.

Obecnie na jesiennych kapeluszach ukazują się, w miejscu kwiatów, szerokie kokardy z wstążki w pasy lub w szkocką kratę, złożone z czterech rozchodzących się pukli; zowią je tu *ails de maulin*, śmigami od wiatraka.

Fryzurki znad czoła usuwają się coraz bardziej ku skroniom; widocznie zastępują je wkrótce loki tapirowane, jakie noszono w roku 1830.

S. D.

Z ALP STYRYJSKICH.

Semmering, d. 26 Września 1892 r.

Mieć bogi swoje, a szukać cudzych, to grzech śmiertelny, lecz, niestety, najbardziej naturze ludzkiej właściwy. Gonimy zawsze za czemś wyższem i niepochwytne, za marą jakąś, by, dobiegłszy jej, przekonać się, że własne bogi warte były niemniejszej czci i pokłonu.

Grzechu tego czy przeniewierstwa dopuszczam się i ja w tej chwili. Otrzymałszy bowiem od „Tygodnika” polecenie rozejrzenia się w wystawie wiedeńskiej i zanotowania szczegółów, któreby świat kobiecy bliżej obchodzić mogły, powinienem list ten od wystawy zacząć. Tymczasem, pozostawiając ją do następnej poczty, spowiadam się z goniłtwy za cudzymi bogami...

Brak Wiednia, rozwijającego właśnie z całą gorączką sezon jesienny, istnieniem wystawy przyspieszony, palił mnie i męczył. Gorąca temperatura i szalone owacy, czynione przez płomienne Wiedenki Mascagni'emu, kompozytorowi, którego przyjmowano tu jak fenomen, jak zjawisko niezwykle, odurzały i nużyły. Naprawdę powtarzałem sobie, że i nasze Tatry są niedaleko; sofizmat zwyciężył, podszepnął mi bowiem, że aby je należycie ocenić, należy mieć punkt porównania z innymi cudami górskiej przyrody.

Logika ta przemogła, a pośpieszny pociąg kolei Południowej wiozł mnie już nazajutrz ku alpejskim granicom Styryi.

Wiozł, zdumiewając najpierw bogactwem przebieganych okolic, później zaś śmiałością z jaką drobna ta stosunkowo maszyna, ręką ludzką zbudowana, pokonywa przeszkody, rzuca się na szczyty gór, przebija ich wnętrza, ujarzma grzbiety skalistych olbrzymów i, ledwie dojrzała, wśród stoków o tytanicznych wymiarach, panuje im jednak, niosąc nad przepaście i urwiska orli wzrok człowieka wraz z wszechpotężną jego wolą.

Kolej Południowa, *Suedbahn*, jest pierwszą drogą żelazną na szczytach Alp przeprowadzoną, jej też zawdzięcza Semmering wszechświatową sławę. Twórca śmiały tej linii, inżynier Karol Ritter von Ghega, doczekał się na samym Semmeringu, tuż przy stacyi, pomnika wyrzeźbionego w marmurze z brązowym medalionem w płaskorzeźbie. Hołd to ze strony Stowarzyszenia inżynierów dla tego, który potrafił opanować dzikie skały, bijąc w nich 15 tuneli, wznosząc 18 wiaduktów i prowadząc pociąg na wysokości przeszło 4,000 stóp nad poziom Adryatyku. Śmiała ta droga zaczęta została w roku 1849, ukończona zaś w pięć lat później, kosztem 22 i pół miliona guldenów.

Rzecz prosta, iż kosztu powyższe dotyczą jedynie części przechodzącej przez pas alpejski. Początek bowiem linii dosyć jest łagodny. Wybiegłszy z pięknej stolicy naddunajskiej, pędzi wśród bogatych podmiejskich jej okolic. Widzimy zdaleka górę Kahlenberg, wstawioną z czasów odsieczy Wiednia mężną odprawą, jaką dał Turkom Sobieski. Stoi tu nawet na szczycie kościół z wmurowaną tablicą, poświęconą pamięci Jana III i innych obrońców Wiednia. Należy zanotować, iż napis ten, na cześć oswobodzicieli, wyryli w dwóchsetną rocznicę ich zwycięstwa (1683—1883) Niemcy sami. Z uznaniem takim dla bohatera spotykamy się w Wiedniu raz tylko jeszcze.

Oto królewską salę Burgu (zamku cesarskiego), salę przyjęć dla uroczystych poselstw i delegacji zdobią bezcenne gobeliny, przedstawiające szczegółowo obronę Wiednia, wraz z Janem III-cim, gromiącym wojska Kara Mustafy.

Sala ta jednak zamknięta jest dla ogółu, pamiętkom zaś, w miejscu nagromadzonym a dla wszystkich dostępnym, inny już — jak to zobaczymy — nadano charakter.

Pociąg nie pozwala nam wszakże zastanawiać się nad tem. Mijamy uroczy Baden, znany z winogronowych kuracyj, Helenenthal, dalej wzgórze pokryte bujnemi winnicami, słynne z wyrobów swych Voelau, Gumpelskirchen, Goldeck-Voelau i cały szereg miejscowości, w których wśród zieleni winnic, nie wyższych nad nasze krzaki porzeczkowe, błyskają tylko białe otwory piwnic i piwniczek.

Każda wioska nieledwie jest tu miejscem kuracyjnym, w każdej błyskają wille i pałacyki, niosące poza winem drugie, obfite źródło dochodu. Gdzieś niedaleko, u stóp gór wyższych, wśród zacisza utworzonego ścianą olbrzymią, bieleją wspaniałe pałace członków domu panującego, lub książąt finansów, jak Rothschildowie i inni.

Od Reichenau jednak do Pajerbach szczególnie, śmiejące się winnice i wille ustępują miejsca górskiej grozie widoków. Kolej przebija tu już śmiało piersi olbrzymów i przebiegając tunel za tunelem, wyrzuca cię z ciemności na światło przyćmione mgłą gęstą. Zkąd się ona tu wzięła, nie zdajesz sobie jeszcze sprawy, nie wiesz, że się znajdujemy na wysokości obłoków, lecz widzisz tylko jak szara mgła, roztrącana biegiem parowozu ustępuje i dzie-

ląc się na dwa ramiona, tajemniczą powłoką, niby całunem śmiertelnym, otacza szereg wagonów.

Zdawało się, iż chce ukarać zuchwalca, ujmując go zaś w sprężyste swe pierścienie, spróbuje zmiażdżyć i zgnieść ten kruchy napozór sznur łupinek, który tymczasem, mocą dwóch lokomotyw pchany, pędził coraz dalej a urągając pozornej jej sile, kłębami dymu rzucał na wsze strony.

Mgła, rozniewana oporem, gestniała i potężniała, przejmując wszystko, wtłaczając się przez szczeliny, wstrząsając dreszczem ciekawych, którzy na otwartym ganeczku niemej tej przyglądali się walce.

Wtem, na skraju horyzontu, wśród dwóch szczytów prostopadłych, błysnął promień słoneczny i przebiwszy mleczną, gęstą mgławicę, w drobnych jej kropelkach tęczwami zagrał barwami. Zaskoczona znienacka, próbowała bronić się jeszcze; usiłowała, przysłoniwszy źródło światła i cienia, z panem świata iść w zawody. Byliśmy jednak wyżej ponad nią, pociąg biegł wyżej nad obłoki. Jeden więc gorący słońca pocałunek zwyciężył ją o tyle, że opalowymi grając błyskami, zaczęła kornie chylić się ku ziemi i omdlewając pod palącą tą pieczęcią, rozwiała się snopem iskier brylantowych. Słońce tryumfowało, a blask jego potężny rzucił w tej chwili królewski płaszcz ze złota na szczyty, przez kolej przebiegane. Patrząc na to ciekawe studium barw, na istną orgię kolorów, które od szmaragdu lasów jodłowych, aż do purpury zachodu, do krwawego rubinu i w ogniu stopionego złota, łączyły w sobie wszelkie odcienia, przychodziło żałować, iż błyskawiczny pędzel uwiecznić ich nie może.

Rosą pokryte, spowite obłokami, w których słońce łamało się i tęcza iskrzyło, góry zdawały się przykuwać ku sobie, a harmonią ich potężną, groźną zakłócał tylko pociąg, parą dyszący i na skrzydłach jej niesiony. Tu bowiem, gdzie człowiek bliżej Boga się czuje, on jeden przypominał całe sztyderstwo i niemoc, a zarazem całą potęgę naszej cywilizacji. Oddychając pełną piersią, która w tem czystym, balsamicznym powietrzu rozszerzała się i młodzieńczej nabierała siły, zatopiony nie w uroku już, lecz w potędze przebieganego krajobrazu, urałem miałem niemal do lokomotywy za rozdźwięk, jaki tu wnosiła, zakłócając spokój rozmodlonej przyrody świstem swym przeciągłym. A jednak, dzięki jej pośpiechowi tylko, minęły mi niedawno przed oczyma nadwiślańskie płaszczyny, młodzieńską runię zbóż pokryte, kominy fabryczne i pas, kordonem zwany; dalej szczyty Karpat w mgłę spowite i malownicze wzgórza Szlązka, później modry Dunaj, z królującą nad nim precudowną katedrą Ś-go Szczepana, a teraz też sama siła zanurzała nas w podziemnych ciemnościach tunelu, by olśnić za chwilę w Klammie śmiałością ludzką, walczącą nieledwie z cudami przyrody.

Oto na lewo na tle gór niebotycznych, okalających horyzont, skała dzika, wyglądająca zdala na nieprzystępne urwisko, a tam, na szczycie jej jak orle gniazdo śmiało do kamienistego wierchołka przyczepione, dumne ruiny zamczyska. Dumne, hardo wznoszące się poszarpane wieżycy a dziwnie piękne dzikim jakimś urokiem. Poniżej tuli się do nich cicho kopuła małego kościołka. Hej, hej, miły Boże, ileż te ruiny opowiedziałyby nam ciekawych szczegółów z dziejów krwawego raubritterstwa, jaką byłyby rozkoszą dla ucha poety i nowelisty!

Wszak ów kościółek, później na miejscu tem postawiony, miał być zapewne ekspiacyą, zadośćuczynieniem za krwawe może wybryki panów na

Klammie, których zamek kluczem był do Alp semmerińskich.

Ekspiacya ta, zamknięta w murach świątyni Bożej, nie była jednak zupełną. Inne czasy — inni ludzie. I oto tam, gdzie niegdyś usłano na szczycie orle gniazdo chciwych krwi i łupów rycerzy, gdzie później wzniesiono poniżej wieżycy kościołka, mające przebłagać Boga za krwawe zabawki szlacheckich łupieżców, tam dziś niżej jeszcze wznosi białe swe ściany gmach szkoły ludowej.

Na tle niebotycznych gór rycerski zamek w ruinie, u stóp jego samotna i smutna kopuła świątyni, a dalej jeszcze nowiusienki dom piętrowy, dziś pan dumny, wyglądający na władcę tutaj, z wielkim napisem „Volksschule;” przy nim zaś relsy w dal biegnącej kolei. Taki obraz obejmuje jednym rzutem oko podróżnika. Zwaliska zamku, kościół i szkoła, to trzy studia cywilizacji i rozwoju ludzkości, w jedną ramę ujęte, to streszczenie dziejów i wyznania wiary zarazem, wiary doby obecnej! Do szkoły tej, do ludu, czerpiącego w niej światło, i relsów, które u drzwi jej świat przed nim otwierają, przyszłość dziś należy. Zamczysko zaś, niknące już z oczów naszych, mgłom tylko służy za oparcie, tak jak w mgłę pewno giną dzieje jego niejasne.

Odtąd jesteśmy prawie w Semmeringu. Kolej pnie się już tylko wyżej a wyżej, obiega ślimakiem te same góry, przesuwa się po podwójnych, nad przepaściami rzuconych wiaduktach, mija Weinzelwand o nieprzystępnych, prostopadłych skałach, zawiesza się przez chwilę nad precudnym Adlitzgraben i dawszy nam w wąwozach tych przedsmak naszej polskiej, Kościeleckiej doliny, porzuca Wolfbergskogel, by stanąć na szczycie najwyższym, na właściwym Semmeringsattel.

Ztąd, spuszczać się w dolinę Fröhshnitzthalu, przerzuca się w granice Styryi, by, minawszy Spital i malowniczy styryjski Mürzzuschlag, dążyć dalej na południe, w krainę ciepła i słońca.

Któżby jednak minął Semmering, nie zatrzymawszy się tu dni parę? Wsiadamy więc na małej stacyjce, tuż przy wzmiankowanym powyżej pomniku Ghegi, i gdy z jednej strony wyciągają się ku nam ręce pełne szarotek i misternych koszyczków z poziomkami, z drugiej otacza nas tu na tych szczytach wyniosłych niemiecka systematyczność i komfort, na kieszenie cudzoziemców obliczony.

Chociaż więc tu za stacją wznosi się Stefanie-Hotel, nazwany tak zapewne na cześć wdowy po arcyksięciu Rudolffie, wtedy, gdy ona jeszcze cesarzową być miała, chociaż bliżutko tu wszędzie, czekają na przyjezdnych omnibusy, faetony, karety i landa.

Tak, landa na szczycie Semmeringu. Miły Boże, jakżeby przy liberyach tych wyglądały płócienne wózki naszych gazdów zakopańskich!

Rozparci na miękkich poduszkach, szosą bitą, szeroką, którą jednak wązła baryerka tylko dzieli od przepaści, dostajemy się do Suedbahn-Hotelu, położonego na znacznym wzniesieniu. Gmach wspinały, zdobny w tarasy, zaopatrzony we własne biuro telegraficzne i pocztowe, w czytelnię, lawntenisy, krokiety, bilardy i salę restauracyjną na kilkaset osób, zapełniony jest po brzegi. Od Niemców i Anglików roi się aż tutaj. Złotowłose, wysmukłe miss, strojne jak na wieczorowe przyjęcia, flirtują na tarasie z dżentelmenami zakutymi w kamusze, w jasną flanelę i ogniste krawaty. Pano wie korzystają z przywileju gór, panie, bardziej pretensjonalne, przybierają stroje jak na corso w Praterze, lub wieczorną przechadzkę po wiedeńskim Grabenie.

Szwajcar hardem mierzy nas okiem. Miejsca ani kawałka, pomimo że Wrzesień ma się ku schyłkowi. Odesłani do I-ej lub II-ej Dépendence (filie hotelu), gdzie podobno mają się znaleźć dwa pokoiki, rzucamy tylko z tarasu, zapełnionego różnorodnym a barwnym tłumem, długie wejrzenie na precudny, roztaczający się tu widok.

Do owej Dépendence wiedzie droga kołowa dla powozów, lub ścieżka przez góry. Wybieramy tę ostatnią, jako bliższą. Wszędzie druty telefonu łączącego oba hotele, wszędzie podwójne latarnie gazowe i wygodne ławki z napisem: „Semmering, Suedbahn-Hotel.” Na jednej z nich czytamy numer 78-y, turyści więc mają tu na czem wypoczywać. Przy najlżejszym przytem, stromem nachyleniu drogi, zastępują ją schody wygodne. Naliczyłem ich na małej przestrzeni 300 blisko. Przyczem na każdym zakręcie stały tablice z napisami, strzały wskazujące kierunek drogi, znaki Klubu alpejskiego etc. Biedne moje Zakopane o ścieżkach na najbliższy Giewont nawet, więcej przez bydlęta, niż przez ludzi wydeptanych, jakże mi cię żal było w tej chwili! Zdawało mi się, że te schody, te gradowane ulice, po których ślepi nawet i kulawi chodzić mogą, psują mi cały urok dzikiej, górskiej przyrody, że jej nadają cechę wyrafinowaną, filisterską, wstrętą, bo mieszczańskimi gustami tchnącą. Towarzysze moi jednak innego byli zdania. Znajdowali, że komfort ten nie przeszkadza urokowi przyrody a sprowadza do Semmeringu roje bogatych turystów, którzy rokrocznie krocie tu zostawiają.

W Tatry zaś nasze, pozostawione w stanie natury, kto jeździ? My, my biedacy, którzy zostawiając tam pieniądze w domu zebrane, przekładamy je poprostu z jednej kieszeni w drugą. Ogół nic tu, zupełnie nic nie zyskuje.

Dépendence, złożona z dwóch gmachów o stu pokojach conajmniej, zapełniona znów była po brzegi. Z Polaków znajdowały się tu zaledwie dwie rodziny o mniej znanych nazwiskach. Widząc po szalonej, panującej drożyznie, iż cudzoziemców musi tu przyciągać silniejszy magnes nad wzgląd na pieniądze, rzucam się na pierwszy szczyt najbliższy, na Pinkenkogel.

U stóp góry tej znów gmach trzypiętrowy o obszernych werandach i tarasach. To Hotel-Panhans, rojący się od cudzoziemców. Z restauracji jego rozległy widok na obszerną równinę, usianą białymi wioskami, która poniżej szczytu Göstnitz na dziesiątki mil się rozciąga. Nie zatrzymuje nas ona jednak, nie zatrzymuje również punkt akustyczny, w którym każde słowo, półgłosem nawet wypowiedziane, odsyłają nam góry, jak najwierniejszy fonograf, ze wszystkimi odmianami dykcji i wymowy.

Pniemy się gęstym lasem iglastym, według smug białych, poczynionych na drzewach przez klub alpejski, na szczyt Pinkenkogel, by tu zdjąć kapelusze z wyrazem niemego hołdu i zachwytu.

Po jednej stronie Styrya, po drugiej Niższa-Austria. Jak daleko sięgnie oko w lunetę zbrojne, tak daleko gubi się ono w malowniczych, bogatych dolinach, usianych miasteczkami, a przerzniętych licznymi rzekami i strumieniami.

Widok wspaniały, rozległy i imponujący, widok tem podnioslejszy, że tuż obok na prawo i lewo wznoszą się czoła olbrzymów, w obłoczne turbany przybranych. Zawoje te z chmur uwite przebiega szczyt śnieżny. Zmrożone jego tchnieniem, osuwają się niżej i rozprysnąwszy w fantastyczne kształty, zawodzą taniec duchów po złomach skalistych. Poryk wichru przygrywa im, a rozprasza i je-

dnocząc fantastyczne te mary, tworzy z nich bądź to nieprzejrzaną mgławicę, bądź zastęp postaci o zagrobowych, przejrzystych konturach i sile zwo-
dniczej, która cię coraz wyżej i wyżej ciągnie. Aby się w obłokach tych skąpać, aby się wznieść ponad nie, warto życie narazić nawet.

Pinkenogel, jedyny to szczyt nieoszepecony wy-
godnemi drogami. Sonnwendstein, wzniesiony o 5330 stóp nad poziom Adryatyku, te same przed-
stawia widoki. Mijamy tylko jeszcze hotel Erzher-
zog Johann, zdobny w dwa pomniki, z których je-
den uwiecznia przyłączenie Styrii, a drugi stanowi
jej granicę, i po dwóch godzinach dostajemy się na
szczyt, który klub alpejskich turystów zaopatrzył
w wygodne schronisko imienia Fryderyka Szy-
lera.

Mówić o widokach, roztaczających się ztąd, kto
może, kto potrafi? Cudów takich pióro ludzkie ni-
gdy nie opisze, tak jak nigdy nie wypowieć, na
widok ich doznanych. Tu dopiero czuje człowiek
całą swoją nicość, tu widzi się okruszyną oderwaną
od wszechświata i korzy przed siłą, której nigdy
zrozumieć nie jest wstanie, tu pojmuje wszechmoc
i potęgę Boga...

Czy Semmering piękniejszym jest od Tatr? Nie
i stanowczo nie! Ani Klamm i Adlitzgraben, ani
Wolfberg, Pinkenogel i Sonnwendstein, wraz z błys-
kającą w oddali Raxalpą, Schneebergiem i Alpami
noryckimi, nie posiadają miejsc takich, jak dolina
Kościeliska i Czarny staw, nie mówiąc już nawet
o Morskiem oku.

Słynne Adlitzgraben przypominają zaledwie na-
szą Waksmoncką dolinę.

Napróżno zapuszczałem się w głąb Styrii, na-
próżno, przebiegłszy dolinę Froeschnitz, przez Spi-
tal i Muerzzuschlag, piąłem się na szczyty Gauster,
Gaustein i Griblbauer, wszystko to najpierw mniej
wspaniałe od Semmeringu, a później—mniej dzikie,
mniej porywające niż Tatry. Istnieją tu cuda przy-
rody, przed którymi głowa się chyli, a oko tonie
w zachwycie, cuda ściągające cywilizowany świat
Europy, lecz cuda te mógłby świat ów w zdwojonej
sile znaleźć i w Tatrach.

Anatol Krzyżanowski.

TYGODNIK

Nareszcie!

Malarki nasze wiedzą już czego się trzymać i że
w sztuce wszechświatowej nie stanowią pozycji
straconej, bo oto komitet wystawy Kolumbowej
w Chicago zaprosił je do współudziału w tej ekspozy-
cji międzynarodowej, która ma być dziwowi-
skim, karykaturą wszelkiej olbrzymiości, błagą
wszelakiego wytwórstwa, arcydziełem, cudem... Bóg
wie nie czem!

Wiedzą już dobrze ze wzmianek w Tygodniku, że
wystawa ta będzie miała hotele w kształcie słoni,
teatra o scenach których wielkość mierzyć się ma
wiorstami, ognie sztuczne jakich świat nie widział
i oddział pracy kobiecej jako oczywisty dowód, że

wszelaka wiedza, wszelki postęp, wszystko dobro
pochodzi prościutko od umysłów niewieścich. Od-
dział ten będzie negacją męskości w najrozsądniej-
szym znaczeniu tego słowa, jej pohańbieniem, upo-
korzeniem, zmiażdżeniem... sproszkowaniem! Aby
się taki cel osiągnąć dało, należy wystąpić na wy-
stawie w rynsztunku Pallady, w zbroi pełnej,
a lśniącej od misterności piękna, która ozdoba jej
i krasą być powinna. Należy tedy wyteńczyć wszy-
stkie siły inteligencji i rącek na zbudowanie dzie-
ła, mającego przeznaczenie tak olbrzymie.

Niechaj o tem malarki nasze pamiętają!

Dobrzeby było, aby zawnazę zgrupowały się w ja-
kiś komitet, który naznaczyłby odpowiednie drogi
i granice ich twórczości. Wszakże pod tym wzglę-
dem posiada się już doświadczenie, nabyte dzięki
kilku wystawom szkiców.

Z tego doświadczenia korzystać trzeba i rozstrzy-
gnąć kwestye (nieład!), które się tego koniecznie
domagają. Oto kilka:

1) W jakim duchu ujawnić się ma samodziel-
ność naszych artystek i czy nie powinny pokazać
światu, co jest prawdziwy impresjonizm, albo na-
turalizm? Literatki czynić to usiłowały z niema-
łym powodzeniem, śmiałością prześcigając nawet
koryfeuszów francuskich.

2) Co byłoby najodpowiedniejszym podkładem
dla przyszłych arcydzieł wystawowych, mających
się narodzić nad Wisłą: porcelana, fajans, glina pa-
lona, czy też drzewo?

3) Jakie kształty i rozmiary nadać ekranom, za-
słonkom, patarafkom, szyfonierkom, przeznaczo-
nym do reprezentowania sztuki niewieściej w Chi-
cago?

4) Należałoby też starannie określić możliwe
kształty i barwy ptaszków i kwiatków, powoływa-
nych na zewnętrzne czynniki fantazyi, błakającej
się tak często po bezdrożach dlatego tylko, że wzor-
y spotykane na skorupkach dawniejszych tak łat-
wo w błąd wprowadzają.

Co do mnie osobiście, wierzę że nasze malarki
dadzą się poznać na wystawie wszechświatowej nie
gorzej, niż na wystawach warszawskich, żałuję je-
dnak, że nie uda im się nasyłać tam, jak tutaj, co-
raz nowych przedmiotów swej twórczości, produk-
owanych tak szybko i tak tanio. Byłby to złoty
interes! Możliwe w ten sposób zasypać świat ma-
lowanemi wachlarzami, talerzami, popielniczkami,
filiżankami, pudełkami i t. p. — no, i przekonać, że
się sztukę traktuje na wielką skalę, przynajmniej
ilościowo. Zgromadzone na wystawę narody do-
wiedziałyby się przy okazji tego, co by je niezawo-
dnie w zdumienie i zachwyt wprowadziło, a mianowi-
cie że Warszawa posiada kilkanaście szkół malar-
stwa dla kobiet i że liczba tych szkół z rokiem ka-
żdym rośnie, a za lat dziesięć społeczeństwo tyle
będzie miało artystek z pędzlem w rączkach, ile
fortepianistek i... panien na wydaniu. Będziemy
wtedy wszyscy od stóp do głowy pomalowani, domy
nasze pokryją się od piwnic do dachu ptaszkami
i kwiatkami i nie będziemy jadali inaczej jak na
porcelanie, której każda oddzielnie sztuka będzie
zabójczym protestem przeciw męzkim Rafaelom,
Rubensom i Matejkom świata.

Podobno i nasza literatura niewieścia wybiera się
na wystawę amerykańską, w skromnym przewidy-
waniu że jury tamtejsze nie będzie wnikało zbyt
troskliwie w treść bibuły zadrukowanej, porzestając
na jej statystyce. A jeżeli cyfry istotnie staną się
tam wszystkim i jeżeli komitet z całą uprzejmością
i rycerskością zadowolony się autobiografiami autorek,
których dzieła, rozchwytywane przez spragnione tłu-
my, nie mogą już osobiście podążyć do Chicago,

tedy liczba arcydzieł pani Maryi Szeligi... Loevy
spotężnieje jeszcze znakomicie. Możliwe z przykła-
du tej pani korzystać. W Ameryce błaga jest jak
u siebie, bez względu na to z kąd pochodzi.

Tylko—ostrożnie! Amerykanie znają się na niej
wybornie i musi być bardzo zręczna, pełna wiary
w siebie, naiwności i... humoru, inaczej odrzucą ją
wzgardliwie.

Ponieważ jesień wchodzi już powoli w swoje pa-
nowanie, jest tedy nadzieja, że przy długich wieczo-
rach i deszczach, które lada dzień lać poczną, skoń-
czy się olbrzymi w tym roku sezon przechadzkowy,
a zacznie pora rozmyślań i czynu. Będzie tedy czas
do przygotowań i do twórczości. Jestem o malarki
nasze spokojny.

Ale oto od strony oceanu bieżą wieści zatrwa-
żające, które, kto wie, czy nie wpłyną na losy wy-
stawy Kolumbowej: na wodach cholera panuje i sro-
ży się potężniej, niż na lądzie! Na statkach prze-
wozowych ludzie umierają setkami, a niema wcale
pewności, żeby się to skończyć miało rychło. Raz
zagnieżdźszy się, zaraza, ukryta w szczelinach
okrętowych, niełatwo ztamtąd ustąpi, przypomina-
jąc się długo, rozchodząc się szeroko. Środki kwa-
rantannowe nie opanują jej, skoro wszystko nią
przesiąknie. Niechże pamiętają o tem ci, któ-
rym marzenie o wyjeździe do Chicago już teraz za-
sypiać nie daje.

Można łatwo wyjechać, ale łatwiej jeszcze nie
powrócić wcale.

Maryusz.

SYBILLA.

POWIEŚĆ

przez

F. C. Philips i C. J. Wills.

PRZEKŁAD

Zofii Grabowskiej.

(Ciąg dalszy.)

XV.

Pojawienie się Soapy'ego.

Zaledwie ostatnie słowa, przytoczone w poprze-
dnim rodziele, wymknęły się z ust Wiliama Martin,
kiedy dały się słyszeć w oddaleniu dźwięki koncer-
tyny, która towarzyszyła sentymentalnej, niegdyś
tak popularnej melodii murzyńskiej: „Nelly was
a Sady.” Człowiek, który grał na owej koncerti-
nie, był to jakiś komiczny, podstarzały hultaj, ze
srebrnym włosiem, z latającymi oczami i dużym no-
sem czerwonym. Na jego wymownym obliczu był
wypisany dzin. Rybie oczy zdradzały także nało-
gowego pijaka. Nie było nic szanownego lub pa-
tryarchalnego w tym starym człowieku, który grał,
idąc zapyłoną drogą.

Kostium na nim był też dziwaczny, obuwie ra-
czej podobne do nóg krabą niż do butów, szarawa-
ry stare, dobrze znoszone, i nowy, jaskrawy, pło-
mienno-szkarłatny żersey, u którego na piersiach
widniały żółtą włóczką wyszyte wyrazy: „Armia
Zbawienia.” Wstrętna ta figura miała na głowie

czapkę wojskową z takim samym wyraźnym, złotym napisem na daszku czerwonym.

Mr. Wiliam Martin, wciąż oparty o płot, tak głęboko pogrążył się w zadumie, tak był oddany dobrym postanowieniom i planom na przyszłość, że nie zauważył pieszego trubadura.

Ale muzykus, bardziej spostrzegawczy, zaraz zobaczył przyzwyczajenie ubranego członka średniej klasy i dosyć tego dlań było. Upozował się i niezwłocznie przystąpił do interesu, wylewając z gardła potok quasi-religijnej melodyi.

Wyrwany z zamyślenia tym hymnem budującym, Martin obejrzał się szybko, spostrzegł śpiewaka i wpatrzył się weń ze zdumieniem.

Ale oficer „Armii Zbawienia” ciągnął dalej świątobliwą pieśń.

Naraz śpiew zamilkł, koncertina wydała przykry dźwięk i nastąpiło wzajemne poznanie się. Martin zbłądł jak ściana, ale stary jegomość w czerwonej koszuli zdawał się rozpromieniony radością. Wyciągnął brudną rękę i zawołał:

— Davny, to ty, stary kamracie! Nie byłbym cię poznał. Na co polujesz teraz? Na jaką zwierzyne polujesz? — dodał, jakby podziemnym szeptem.

— Nie znam cię, mój dobry człowieku — rzekł mr. Wiliam Martin wyniosłym tonem, — i... nie... nie sympatyzuję z twoim nosem.

— Widzę to, mistrzu — powiedział wstrętny gentleman, przykładając palec do dużego czerwonego organu powonienia — ale to się nie zmyje... bratku. Dawniej jakoś nie byłeś zadumny, żeby mi uściśnąć rękę.

Mr. Martin, widząc że nadaremnie ukrywałby tożsamość osoby swojej, wstrząsnął zasmoloną dłoń wstrętnego członka kościoła wojującego.

— Tak, to rozumiem, to mi się podoba. Ale jaki elegant z ciebie! Ten garnitur nie pochodzi od tandeciarza. Daję szyję za to.

— Nie frasuj się o moje ubranie, Soapy; już zapłacone... o nic więcej nie powinno ci chodzić. Ale tobie jakoś szczęście nie służy.

— Jak widzisz... źle idą interesy. Edukacja zgubiła mnie doszczętnie. Pamiętam czasy, kiedy umiejący pisać był zjawiskiem w naszej profesji. Niejeden grosz wpadał mi w rękę cosobotę wieczór, od żebraków i tym podobnych indywiduów. Ach, kiedym tylko zaczął pisać dokumenta, zaraz wsadzono mnie do więzienia. Widzisz, to tak się rzeczy miały. Nazywali mnie profesorem. Byłem dumny i szczęśliwym człowiekiem w owe dni, ale odkąd straciłem ciebie z oczu, mój Davny, odkąd zacząłem uważać religię za rzemiosło, źle się dzieje ze mną, bardzo źle. Bardzo to dobra rzecz być świętym, mój Dawny, ale omałem się nie stał także męczennikiem w ostatniej wsi, przez jaką przechodziłem.

— Jakże to było?

— Oto tak — rzekł stary, znowu zniżając głos do jakiegoś podziemnego szeptu, — tak się rzecz miała: chłopcy mnie tam kamienowali, nie na żarty kamienowali, mój Davny. Wszystko mnie boli. Kościół jest ciernistą drogą, przynajmniej ja tego doświadczam.

— Podoba mi się twój strój — przerwał Martin ze śmiechem.

— W wielu miejscach oddaję mi prawdziwe usługi. Idę do plebana; jeśli ambitny, to nie chce spółzawodnika, więc gdy mówię: „Chciałbym odprawić tutaj nabożeństwo,” odpowiada „z Panem Bogiem” i daje dolara, żebym sobie poszedł. Jeżeli jaki skromny człeczyna, to mówi: „Będzie mi bardzo przyjemnie uczestniczyć w twoim meetingu, bracie

i przyjacielu. Życzę ci powodzenia,” i obdarza mnie półdolar. Skromni nie dają więcej, jak pół dolara. Ja przemawiam do zgromadzenia, a ten pijak zajmuje miejsce prezydyjne, potem wiodę z nim spory i zawiązuje się znajomość. Ale, bądźco bądź nie spoczywam na różach, mój Davny.

Stary niepoń westchnął i potarł sobie łydki.

— Bodaj tych chłopaków! — wykrzyknął z przepełnionego serca.

Wyciągnął następnie rękę do przyjaciela i rzekł poufale:

— Pożycz mi swojej fajki, stary druhu.

Martin przychylił się do jego prośby, chociaż nie mógł się powstrzymać od gestu zdradzającego obrzydzenie.

— Możesz zatrzymać tę fajkę, Soapy — rzekł.

Profesor religii wpatrzył się w niego z zadziwieniem.

— Do dyabła, Bill Davny, zdaje mi się, żeś się zrobił dumny.

— Dumny? — powtórzył tamten, — bynajmniej. Trzymam zawsze ze swoimi kamratami, a gdy mi szczęście sprzyja, to się niem dzielę z nimi.

Tu wyjął z kieszeni pugilaresik i podał papieraek pięcioletni gentlemanowi w czerwonym żerseju. Soapy wziął bilet, przyjrzał mu się pod światło, zwilżył go językiem, poczem starannie złożył.

— To dobry pieniądz — rzekł Martin z gniewem. — Nie masz potrzeby być tak niezdolnie podejrzliwym.

— O naturalnie, naturalnie! — odpowiedział stary, chowając papieraek do kieszeni. — O naturalnie; tylko że ostatni mały czek, jaki dostałem od ciebie... wprawdzie gdy idzie o interes, nie można bardzo przebiegać w środkach, ale ten czek był sfałszowany i wiesz o tem dobrze. — Uderzył Martina poufale w żebra końcem brudnego palca wskazującego. — I złożyłeś to na biednego starego Woodmana, wiesz, żeś to zrobił. Ach, Bill, Bill, tyś był zawsze zręcznym oszustem, ale wybaczam ci to, Bill, i uważam cię za syna i dumny jestem z ciebie. Kiedy cię widzę stojącego tu w tem pięknym ubraniu, zapłaconem, jak powiadasz, jestem dumny z ciebie. Poproszę cię teraz o jedną łaskę. Nadarza mi się pewna robota, ale jej nie poradzę sam jeden. Ryzyko jest mniejsze, aniżeli by się zdawało. Jeśli nam się powiedzie, to będziemy zaopatrzeni obaj do końca życia; a jeśli nie, to, naturalnie, trzeba się będzie bronić od następstw ryzyka; ale ryzyko jest małe. Jam teraz ostrożniejszy niż dawniej, zamłodu, daleko ostrożniejszy i mniej spekulacyjny. To jest dobry, solidny interes i ty właśnie jesteś stworzony do niego. Cóż mi odpowiesz na to?

— Nic dobrego: wycofałem się z interesów.

— Zrób to przez pamięć na dawne czasy — mówił Soapy błagalnie, — to dosyć bezpieczna sprawa. Słuchaj, Bill, żeby ci dowieść, że mówię nasyro, powiem ci, że jeżeli zrobisz to, o co cię proszę, niech mnie dyabli porwą, jeśli ci nie oddam twojej łubej. Przecież to dobra propozycja, nieprawda? Przecież to dobra propozycja, dalibóg, świetna!

Stary hultaj otrzymał odpowiedź, ale taką, jakiej się wcale nie spodziewał. Wiliam Martin schwycił go za kołnierz i wstrząsnął nim gwałtownie.

— Słuchaj, Soapy — rzekł przez zaciśnięte zęby, — słuchaj co ci powiem. Zerwałem z dawnym życiem, z dawnymi ludźmi, zerwałem i z tobą. Jestem teraz uczciwym człowiekiem — tu odepchnął od siebie kusiciela i zaklął. — Słuchaj, co ci powiem. Zgubiłeś mnie niemal, duszę i ciało. Wykra- dłeś mnie przyjacielom, którzyby zrobili ze mnie

dobrego, uczciwego człowieka, nauczyłeś mnie wszelkich bezceństw, jakie tylko istnieją pod słońcem, i obchodziłeś się ze mną gorzej niż z psem. Jeżeli znowu spróbujesz wejść mi w drogę, tem gorzej dla ciebie. Nie śmiej mieszać się do moich interesów i do mnie, bo jeżeli będziesz się mieszał, to pamiętaj, że pożałujesz tego.

Po tych słowach mr. Martin odszedł z iskrzącymi się oczami.

Mr. Woodman obmacał sobie starannie szyję palcami, a potem odwrócił się i pogroził pięścią oddalającemu się przyjacielowi.

— Ty, tchórz! — rzekł, — bijesz starego człowieka, odgrażasz mu się! Powinieneś się wstydić za siebie, tak, powinieneś się wstydić, ty podły tchórz!

Tu stary splunął zapalczywie.

— Za dawnych czasów, kiedyś był malcem, takim oto, tak cię okładałem kijem, żeś był nawpół żywy; tyś zawsze był gadziną. Zawsze z ciebie było lichy. A teraz wyszedłeś widać na gentlemena. Otóż dobrze to pamiętam, że cię podniosłem z ziemi pewnej nocy sobotniej i byłem dla ciebie drugim ojcem i wychowałem cię; a kiedyś uciekłeś, szukałem cię niby pasterz owieczki zabłąkanej i nie miałem spokoju, dopóki cię nie znalazłem i nie sprowadziłem napowrót do owczarni i wybawiłem cię od tego malarza, który nie mógł mieć dobrych zamiarów względem ciebie. Płaciłem za naukę twoją, żebyś wyszedł na człowieka, tak, płaciłem, bom wiedział, że moje pieniądze będą tak procentowały, jak gdybym je włożył w domy. I wyszedłeś na świetnego malarza, jakem ci to zawsze przepowiadał, a teraz jesteś gentlemanem. A kiedy cię stary twój druha i więcej niż ojciec, omało nie ukamienowany, powiada ci: „Davny, kochany chłopcze, upatrzyłem pewną robótkę, która może nas obu zzbogacić,” to zamiast być wdzięcznym i podziękować mi za tę wspańiałość, że cię przypuszczam do prawdziwie dobrej rzeczy, ty się obracasz przeciwko mnie i znieważasz mnie. „Soapy — mówisz, — jam teraz uczciwy człowiek,” kiedy przed chwilą niemal życie wytrząsałeś ze starego człowieka. „Nie mieszać się do moich spraw,” mówisz, a słów twoich nie powtórzę, żeby sobie nie splamić ust. I dałeś mi pięć szylingów tak samo, jak gdybyś psu rzucił kość i powiedział: „Nie sympatyzuję z twoim nosem i... nie sympatyzuję z twoją robotą.”

Stary niepoń zaczął przedrzeźniać postawę i ruchy mr. Martina z komiczną dokładnością.

— Byłoby lepiej dla ciebie, Billu Davny, gdybyś sympatyzował z nosem starego, gdybyś zatrzymał w kieszeni papieraek pięcioletni, a przystał do jego roboty, kiedy sobie życzył tego. Prosiłem cię dosyć grzecznie, a tyś się rzucił na mnie, jakby dziki zwierz.

Prawiąc tak ciągle, doprowadził się do furii.

— Podniosłeś rękę na starego człowieka. Klnę się na Boga, że pożałujesz tego! Odplacę ci się, kochanku. Nauczę cię porzucać starych kamratów swoich i odgrywać rolę gentlemena — dodał tonem poskramianej wściekłości. — Jam nie zapomniawszy, nie, nie zapomniawszy!

Zdjął z głowy swą czapkę wojskową i wydobył zpod podszywki złożone obwieszczenie.

Brzegi jego były zużyte i podarte, nieledwie zostały same strzępki. Woodman ostrożnie rozwinął tę kartkę i przeczytał głośno:

„Sto funtów nagrody!

KRADZIEŻ.

Poszukiwany Wiliam Smith, alias Davny.

Wiek lat 23. Włosy czarne, oczy niebieskie. Wzrostu 5... 10... Czarna broda i długie wąsy. W ostatnich czasach chodził w szarym garniturze w paski.

Ze wskazówkami zwracać się do nadintendenta Badgera, Great Scotland Yard, albo do któregoś z urzędu policyjnego w królestwie zjednoczonym.

— Tak to! — ciągnął dalej stary, — zerwałeś z dawnym życiem i ze starymi kolegami, zerwałeś? Zerwałeś z szarymi garniturami w paski, tak? Może zerwał, a może i nie! Ale czyś zerwał z Soapym, młody Billu Davny? Nie zerwałeś z Soapym, kłnę się na twoje drogie życie, żeś nie zerwał z nim.

Stary łotr złożył napowrót ogłoszenie i schował je za podszewką czapki.

— Żle jest ze mną — rzekł, — ale i z tobą nie lepiej, mr. Bill Davny, jeśli się nie mylę.

Mrugnął okiem, roześmiał się i zaczął znów śpiewać przy towarzystwie koncertyny, a słowa i muzyka nikły stopniowo w oddaleniu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z chwili bieżącej.

* **Cholera azyatycka** w paru przypadkach śmierci skonstatowano w Warszawie. Oba były czysto miejscowe i miały za przyczynę nieostrożność w użyciu pokarmów i napojów. Ma się rozumieć że dwie te śmierci stały się dla tłumów dostatecznym wtykiem do wysnuwania plotek, w których lada przypadłość podnoszona bywa do godności epidemii. Kumoszki, zjadając śliwki kupowane z brudnych koszyków żydowskich i zapijając je wodą, rozgadują o cholery nie stworzone rzeczy, ale nie natrafiają nigdy w swoich gawędach na pewnik, że przy rozsądku, powściągliwości i higienie epidemia przestaje być groźną. Najsmutniejsze ze wszystkiego jest, że ludzie niekoniecznie ciemni starają się często wykręcać od spełniania tych obowiązków, jakie na nich wkłada uwaga na bezpieczeństwo publiczne. Szczególniej Żydowie są pod temi względami niezmiernie pomysłowi i ufają, że „wybrany lud” nie ma się czego obawiać, skoro Pan nad nim czuwa. Pan czuwa, ani słowa, ale odwraca oblicze swoje od brudnych niedbaluchów, a lud wybrany od wszystkich epidemij bierze ciągi nielitościwe i rozumu się nie uczy.

* **Jesień słoneczna i gorąca, zielona i strojna** w kwiaty w Październiku, to zjawisko wyjątkowe. Ciepło w cieniu dosięga + 20° Réaumura, wieczory prześliczne, a temperatura późnej wiosny, poranki bez mgły i szronu, a z różnych stron biegają wieści o powtórnych kwiatkach, ba, nawet owocach. Deszcze jeżeli padają, to bardzo dyskretnie, po nocach tylko, aby się ludziom nie naprzykrzać i ostatnich przyjemności pogody im nie psuć. Warszawa też skwapliwie korzysta z tych dni ciepłych i słonecznych; we wszystkich miejscach przechadzkowych bywa tłok, bo pod dachem nikomu siedzieć się nie chce. Wszystkie te piękności jesienne lada dzień naturalna ponurość pory przykryć może połą swego płaszcza, a pomimo uśmiechów nieba zapominać nie należy, że wedle przyrodzonego porządku rzeczy, Październik winien być porą deszczów, wi-

chrów, mgły i chłodu. Te wszystkie niemiłe rzeczy czekają swojej kolei, bardzo już zapóźnionej, i jutro, ba, lada chwila doczekać jej się mogą.

* **Altana** do wody sodowej w ogrodzie Saskim nie może znaleźć przedsiębiorcy, któryby się odważył wydzierżawić ją od miasta na proceder właściwy. Obecnie na dzierżawę tę ma być ogłoszona licytacja po raz trzeci, z obniżką 25% od ceny poprzednio postanowionej. Bardzo być może że i tym razem amatorowie się nie znajdą, bo owe 25% wydaje się nic nieznaczającą drobnostką tym samym właśnie, którzy dawniej licytowali się nazabój i pędzili jaknajwyżej cenę, dopóki nie zapędzili jej tak wysoko, że zamiast zysków, altana przynosić mogła jedynie straty. Tak samo podbija się lokale, sklepy, miejsca na targach; wszystko naprzekór bliżnim, na szkodę własną.

* **Kawiarnia** w połączeniu z czytelnią ma być otwarta w środku miasta na wzór kawiarni takich w Wiedniu. Ma mieć osobne salony dla palących, dla niepalących i dla pań. W czytelni znajdować się będą nie tylko pisma, ale i książki, których ztąd oczywiście w interesie kawy do domu zabierać nie będzie można. — Ponieważ niebardzo ufamy kombinacji wytworzonej z połączenia kawy, książek i dam... co wobec nawyknień i zapatrywań miejscowych będzie tylko jakimś dziwolągiem, bardziej odstręczającym, aniżeli pojętnym, przeto pomysłowi powodzenia nie wróżymy, a zato obawiamy się aby czytelnia nie potrzebowała zamienić się, na coś w rodzaju „tingel-tangla...” powiednieku.

* **Galary z jabłkami** przybiły do brzegu Wisły w pobliżu Maryensztadu. Ceny są wcale niewygórowane, a pomimo to owoc nie znajduje wielu chętnych nabywców. Gosposie warszawskie twierdzą, że tego gatunku jabłka nie nadają się do przetworów kuchennych, a jeść je na surowo niekoniecznie bezpiecznie.

* **Ryby** na targach warszawskich staniały, dzięki konkurencji, jaką wytworzyła działalność spółki rybackiej. Spółka ta, urządziwszy gospodarstwo rybne własne i zachęciwszy do hodowli ryb wielu z ziemian, zasobna w siły i towar, wystąpiła obecnie z dobrze przygotowaną działalnością. W pierwszym zaraz dniu sprzedano kilka tysięcy ryb, które kupowano bardzo chętnie. Dotychczasowi handlarze są w ogromnym strachu. Poważna konkurencja uniemożliwia wytworzony przez nich monopol i reguluje sprawy targu rybnego w sposób dla konsumentów niezmiernie pożyteczny. Różnice w cenach na korzyść publiczności sięgają do 10 kop. na funcie, a ich wysokość zależna jest od gatunku ryb.

* **Jubileusz szulerów.** W prasie niemieckiej od pewnego czasu można się spotykać z artykułami, mającymi na celu obchód jubileuszowy pięćwiekowego istnienia kart, które wymyślone zostały daleko dawniej, ale mniej więcej 500 lat temu wprowadzone zostały do Europy. Rozpoczęło się to zle od Francji, a jako zle prawdziwe, rozszerzyło się szybko. Dzisiaj już niema miasta ani wsi w Europie, w którejby karty były nieznane. Obchód jubileuszowy zamierzają Wiedeń i Antwerpia, pierwszy bardzo uroczystie, druga... wystawą odpowiednią, która, jeżeli ma ukazać przedmiot w oświetleniu właściwym, winnaby też zgromadzić wszystkich szulerów przy stolikach zielonych i urządzić z nich widowisko, pouczające, jak się z kartami w ręku maruje zdrowie, honor, spokój rodziny i godność człowieka.

* **Hamburg** dotychczas z przyczyny cholery stracił 10,000 mieszkańców, którzy stali się jej ofiarą. Na tem jednak nie koniec, bo miasto to ulega

obecnie chorobom, które zazwyczaj stanowią pozostałość zarazy.

* **Stanhope** już porzucił Hamburg, z którego wyjechał zdrowy i cały, a z humorem i wesołością. Podążył do Berlina, gdzie zamieszkał w jednym z hoteli... na bardzo krótko, wyrzucono go bowiem ztamtąd na żądanie przejezdnych lokatorów. Nikt z nim pod jednym dachem przebywać nie chciał. Stanhope wyjechał do Paryża, gdzie ma zamiar zabrać się do bardzo szczegółowego opisu swoich przygód cholerycznych. Śmiały jego eksperyment nie ma jednak żadnego znaczenia wobec nauki; jest tylko zuchwalstwem, które niczego nie dowodzi, chyba tylko indywidualnej odporności organizmu przeciw cholery.

* **Dla wiedzy.** Dyrektor obserwatorium meteorologicznego w Ludgunie, André, w celu zbadania siły natężenia elektryczności w powietrzu, wmiarę wznoszenia się wgórę, puścił się w sfery podniebne balonem z parku miejskiego na parę godzin przed burzą, z aeronautą Pinaudem i pomocnikiem swoim. Wyprawa miała następstwa smutne. Porwany przez wiatr, balon zleciał nad dachy Châtillonu i uległ tak silnym wstrząśnieniom, że Pinaud wypadł na jeden z dachów i omal życia nie stracił, a André ma złamaną rękę. Wyprawa tedy żadnego rezultatu naukowego osiągnąć nie zdołała.

Redakcja „Tygodnika mód i powieści” przyjmuje Interessantów w sprawach literackich wyłącznie w poniedziałki i czwartki, między godziną 12—2 z południa.

Zbiorowe wydawnictwo powieści obyczajowych i humorystycznych

Alberta Wilczyńskiego,

autora

„**Kłopotów Starego Komendanta,**”

tomów 20, które z przesyłką pocztową kosztowały rs. 14, dla prenumeratorów „Tygodnika mód i powieści” **zniżamy na rs. 9.**

PRZYJACIEL DZIECI,

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie		Na Prowincyi	
Rocznie	rs. 4.	Rocznie	rs. 5 k. —
Półrocznie . . .	rs. 2.	Półrocznie . . .	rs. 2 k. 50.
Kwartalnie . . .	rs. 1.	Kwartalnie . . .	rs. 1 k. 25

Adres: Redakcyi ulica Chmielna № 26.

Numer 41 wyszedł z druku i zawiera:

Historia mieszkania (z drzeworytem). — Żeglarz nad żeglarze, opowiadanie zprzed lat czterystu, przez Michała Synoradzkiego. — Niedźwiedzie białe albo polarne (z drzeworytem). — Taka biedna, opuszczona... (z drzeworytem). — Juliusz Verne: Zamek wśród gór, przekład Bronisławy K. — Ze świata. — Praca (wiersz). — Zajęczek. — Głos sumienia. — Opowiadanie o pewnym królu i trzech jego synach. — Odpowiedzi od redakcyi. — Łamigłówki.

Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Magazyn Futer i Konfekcyi Damskiej JAKÓBA PAWEŁEK,

ulica Czysta Nr 6, w Warszawie.

Zaopatrzysz w wielki wybór wszelkiego rodzaju futer w najlepszym gatunku dla Dam i Panów, przyjmuje obstalunki na sezon bieżący i zimowy na wszelkiego rodzaju okrycia damskie jako to: rotundy paryżkie, **palta**, **żakiety** angielskie i wykonywa takowe podług najwzrostszych żurnali paryżskich i wiedeńskich, z własnych i powierzonych materyałów. Wielki wybór **mufek**, **kołnierzy**, **boa**, **czapek** damskich i męzkich po cenach umiarkowanych.

16. Erywańska 16.

MME WANO
239 3-3

Poleca nowości na sezon bieżący, i przyjmuje całe wyprawy ze swoich lub powierzonych materyałów. Ceny najprzystępniejsze.

16. Erywańska 16.

MAKART,
W WARSZAWIE.

NOWO-OTWORZONA
FOTOGRAFIA ARTYSTYCZNA
KRAK.-PRZEDMIEŚCIE 7 (gdzie cukiernia Toura).

Dział artystyczny prowadzi artysta malarz St. K-strzewski, techniczny Wł. Ehrenkreutz długoletni pracownik firmy Mieczkowskiego i Conrada Aparaty i utensylia najnowsze Ceny umiarkowane.

FABRYKA PLUSZU

JAKÓBA ROTHSTADT,
ŚWIETOJERSKA Nr 36,

poleca Plusze gładkie i w desenie, zwracając uwagę na jeden lekki i cienki gatunek, nie ustępujący w niczem zagranicznemu i mogący służyć na pokrycie futer.

Zarządzając Magazynem „M. Marcinek” przez lat dziesięć, zyskać zdołałem na stanowisku tem zaufanie Szanownych Pań. Otwierając z dniem dzisiejszym

Pracownię Sukien i Okryć damskich

pod firmą

„DEUX AMIES”

przy ulicy MAZOWIECKIEJ Nr 10, gdzie przyjmuję wszelkie obstalunki w zakres toalety damskiej wchodzące, podług najwzrostszych żurnali paryżskich, jako to: SUKNIE, OKRYCIA, WIERZCHY DO FUTER, które z wielką starannością i punktualnością wykonywam, polecam się względem Szanownych Pań, które zadowolnić będzie mym obowiązkiem.

Anioł.

ZATWIERDZONA PRZEZ WYŻSZĄ WŁADZĘ

SZKOŁA KROJU i SZYCIA

Eufemii Pilniakowskiej

Zasługuje na szczególną uwagę jako jedynej w Warszawie uczennicy słynnego w Paryżu

235 2-4

WORTH'A

Wiele osób uczących się w innych szkołach rozmaitemi metodami przychodzą do mnie prosząc o powtórna naukę a wtedy dopiero są w możności zapewnienia sobie bytu niezależnego, gdyż krój rzeczywiście metodą **Worth'a** jest tylko w mej szkole, a wiadomo, że jest najłatwiejszym i najpiękniejszym w Kraju i Cesarstwie. Przy Szkole Pracownia Sukien.

Nowy-Swiat 59, pierwsze piętro front.



257 2-3

W MAGAZYNIE MÓD

Daleszyńskiej,

Marszałkowska Nr 129.

Wykonują się ubiory damskie, palta, oraz wyprawy, z wszelką akuracją, gustem i elegancją. Dla osób na prośbę mieszkających, na miejscu, dobrze leżących, stanika i wskazanie gości spódniczki wystarcza do wykończenia kosztu pięknie leżącego. Obstalunki za zaliczeniem pocztowem.

Przygotowana i sprzedaż dozwolona na ogólnych zasadach handlu.



14311 50

WODA MEXICO

Feliksa WARESKIEGO.

Niezawodny środek przeciwko wypadaniu włosów, tworzeniu się łupieżu oraz nerwowym i reumatycznym bólom głowy.

Główny Skład: przy Składzie Aptecznym, TŁOMACKIE Nr 13, w Warszawie.

DR MED. ADOLF KOZERSKI

odbywający praktykę szpitalną jako hospitant kliniki profesora Kaposi'ego w Wiedniu, udziela porady w chorobach skórnych i wen.

Przeprowadził się na Marszałkowską 142.

KSIEGARNIA

250 1-1

Gebethnera i Wolffa w Warszawie.

otrzymała na skład główny dzieło p. t.

WINA OWOCOWE I MIODY

fabrykacya win owocowych i miodów przez

Konrada Niklewicza.

Wydanie drugie pomnożone.

Cena 50 kop. z przesyłką 60 kop.

Zakład gimnastyki Szwedzkiej

dla kobiet i dzieci (chłopcy do lat 12-tu)

Heleny Kuczalskiej,

otwarty został z pozwoleniem Władzy, dnia 15-go Marca 1892 roku,

przy ulicy Mazowieckiej Nr 5.

Gimnastyka higieniczna lecznicza i masaż, prowadzone będą przez Szwedkę z Instytutu Centralnego w Stockholmie. Zakład zostaje pod opieką lekarzy: dr. Solmana i dr. Kurtza. Zapisy i bliższe szczegóły w zakładzie od 6-go Marca.

78-5-6

SZKOŁA

MALARSTWA I RYSUNKU

dla Kobiet

Miłosza Kotarbińskiego,

ulica Widok 14.

Lekeye od dnia 1-go Października.

SZKOŁA FROEBLOWSKA

Maryi Chelmońskiej,

ulica Ciepła 5 (róg Ceglanej).

SZKOŁA KROJU

SK WARECKIEJ

systemem Worth'a. Uczennice praktykują nie na muslinie, lecz na materyałach Zakładu. Przyjmuje obstalunki i wykonywa podług najwzrostszych żurnali.

Plac Św. Aleksandra Nr 14.

Nauczycielka pianistka, która ukończyła konserwatorium warszawskie, osoba wykształcona posiadająca język francuski, poszukuje posady na prowincyi. Adres: gubernia Kaliska. Sompolno Bujakowska.

FABRYKA KAPELUSZY

MĘZKICH I DAMSKICH

J. JANOWSKIEGO

23. Leszno 23.

Przyjmuje kapelusze do farbowania i przerabia na modne fasony.

KONCESYONOWANA
SZKOŁA

RYSUNKOWO-MALARSKA

W. Urbańskiego

Artysty-Malarza,

ulica WARECKA 7 (parter).

Zapisy przyjmują się od dnia 15-o Września, codziennie, pomiędzy godz. 4-tą a 6-tą popołudniu. Lekeye rozpoczyna się od dnia 1-go Października roku bieżącego.

NOWO-OTWORZONY

ZAKŁAD KEFIROWY
K. ŻYCKIEGO

9. Nowy-Swiat 9.

Poleca kefir trzech stopni, podług najracjonalniejszych prawideł. Odstawa natychmiastowa bezpłatna.

PINCE-NEZ, OKULARY, najcenniejszych fabryk i najściślejsz do wzroku za stosowane, Lornetki, Termometry, Narzędzia chirurgiczne, Woreczki higieniczne, Gąbki ochronne, Bandaże i t. p. najtaniej nabyć można w zakładzie

Optyczno-Elektrotechnicznym Juliana Drehera, ul. Szpitalna 6. Tamże: Dzwonki elektryczne. Piorunochrony, Telefony najlepsze zakłada na żądanie. Przyjmują się reperacje. 12710 24

ZUPEŁNA WYPRZEDAŻ
OBUWIA DAMSKIEGO
MAGAZYN

JÓZEFA ŻUREK

przy ul. Wierzbowej Nr 6

(w hotelu Angielskim.)

Nowo otworzona Pracownia

Sukien, Okryć i Konfekcyj damskich

FELICYI

przy ul. Chmielnej róg Zielnej Nr 2, w Warszawie, przyjmuje powierzone roboty, wykonując podług najwzrostszych paryżskich żurnali.

Nowości!!! Garnitury mebli w całości również Portyery, Palta, Okrycia, Suknie bez prucia i t. p. Farbuje i Pierze

Farbiarnia i Pralnia Chemiczna egzystująca od lat 30. BEDNARSKA Nr 21 (front na parterze).

DENTYSTA

Izabella Rechenberg,

otworzyła gabinet dentystyczny przy ul. Nowo-Senatorskiej Nr 8, m. 8. Przyjmuje pacjentów codziennie od godz. 10-4; biednych bezpłatnie od godz. 9-10. Plombowanie zębów, wprawianie zębów sztucznych i leczenie chorób zębów i dziąseł według metod najnowszych.

Zatwierdzone przez wyższą Władzę

SZKOŁY KROJU i SZYCIA

systemem

WORTH'A

71-26

pod firmą:

A la Parisienne,

1-sza: Chmielna 30 parter front.

2-ga: Krak.-Przedmieście Nr 7 obok fotografii.

Przy szkołach pracownia sukien, okryć damskich i ubiorów dziecięcych, w której uczennice mogą praktykować.

ZAKŁAD OGRODNICZY

A. SIEDLECKIEGO
w WARSZAWIE.

Kolonia Cesin w Mokotowie.

Ogród (po Kapucyński) Miodowo Nr 7. Sklep przeniesiony z Krak.-Przedm. (róg Królewskiej) do domu dawniej hr. Zamajskich (wprost Kopernika.)

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe pedagoga Plato v. Reussnera:

Najlepsza Metoda

do nauczania się bez nauczyciela czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku w 3-ch miesiącach, po angielsku w 24 lekeyach. Cena Metody niemieckiej kurs niższy k. 60,—kurs wyższy rs. 1k. 60. Komplet, (oba kursa) tylko 2 rs. Metoda angielska z wymową, k. 75. Najlepsze Elementarze: Polsko-niemiecki lub rusko-niemiecki z wymową, z 14 wzorkami pisma i 200 rycinami k. 35, 20 i 10. Polski z 20 wzorkami pisma, rysunków i rycinami razem 340 figur, tudzież ze wskazówkami pedagogicznymi k. 25 i 15. Powiaty polsko-niemieckie 20 k. Powieść Ali-Baba i 40 zbójców 15 k. Powieść Myśliwi Giezm 10 k. Na przesyłkę pocztową dopłata do każdego rubla pok. 20. Skład gł. u autora, (Reussnera ul. Marszałkowska Nr. 142, w Warszawie).

MARYA NATUSZEWSKA

Przełożona pensyi wyższej

ŻEŃSKIEJ,

przy ulicy Leszno Nr 28,

przyjmuje uczennice tak miejscowe, jak przychodzące, na warunkach bardzo przystępnych.

Zapis odbvwa się codziennie od 10 do 6-jej.

Marszałkowska Nr 151.

MAGAZYN DZIECINNY

Janiny

Dla dzieci: Sukienki, Palta, Ubranka.

Dla dzieci: Bielizna, Wyprawy, Fartuski.

Dla dzieci: Specjalnie mocne Pończoszki.

Dla dzieci: Chroniące od zaziębienia Trykotaże.

Dla dzieci: Czapki i Kapelusze.

Słowem wszystkie artykuły dziecinne.

E. STURM

Ogrodnik-Pejzażysta.

Specyalność: zakładanie i urządzenie Parków i Ogrodów.

Warszawa, Smolna 28.

SZKOŁA ARTYSTYCZNO MALARSKA dla kobiet

Ludwikowej Wiesiołowskiej.

kierunek kursów z natury objał Adam Badowski. Lekeye rozpoczyna się 15 Września. Zapisy od 1 Września od g. 10-1 i od 4-6.

2154-12 KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE Nr 64 (w gmachu Resursy Obywatelskiej.)

Oty specjalne do marynart, stołowe i kuchenne. One poleca fabryka K. Wiland, Hoża 9, dawniej 8. Przy fabryce sprzedaż detaliczna.